

Wtorek,

24 kwietnia Roku Pańskiego 1659,

godzina 9. rano

Marta Stechlin stała w swojej izbie i myła zakrwawione palce w misce z ciepłą wodą. Jej włosy były posklejane w strąki, pod oczami rysowały się głębokie cienie. Kobieta nie spała od niemal trzydziestu godzin. Poród u Klingensteinerów był jednym z najcięższych w tym roku. Dziecko ułożyło się nieprawidłowo, więc akuszerka próbowała je odwrócić. Nasmarowała sobie ręce gęsim tłuszczem i włożyła je głęboko w ciało matki, jednak nienarodzony maluch wciąż jej się wymykał.

Maria Józefa Klingensteiner miała czterdzieści lat i przeżyła już tuzin porodów. Tylko dziewięcioro dzieci przyszło na świat żywych, ale pięcioro z nich nie doczekało pierwszej wiosny. Marii Józefie pozostały cztery córki, tymczasem jej mąż wciąż jeszcze miał nadzieję na dziedzica. Akuszerka wiedziała, że tym razem będzie to chłopiec – wyczuła to dłońmi w trakcie badania. Zdawało się, że jeszcze żyje, ale z każdą godziną rosło prawdopodobieństwo, że on albo matka nie przetrwają tej walki.

Maria Józefa krzyczała, szalała i płakała. Przeklinała swego męża, który po każdym porodzie na nowo wchodził na nią jak byk w czasie rui, przeklinała dziecko i Pana Boga. Gdy zaczęło świtać, akuszerka była pewna, że chłopiec nie żyje. Na taki wypadek miała przygotowany stary pogrzebacz, którym w razie konieczności wyciągała z rodzącej dziecko jak sztukę mięsa, czasem kawałek po kawałku. Inne kobiety, które znajdowały się w dusznej izbie, ciotki, siostrzenice, kuzynki, posłały już po księdza; na kominie stała woda święcona do chrztu z wody. Wraz z ostatnim krzykiem Klingensteinerowej akuszerka chwyciła chłopca za nóżki i pociągnęła. Maluch jak nowo narodzone źrebię wyslizgnął się na światło dzienne. Żył.

Był silnym dzieckiem. „I przypuszczalnie mordercą własnej matki” – pomyślała Marta Stechlin, spoglądając na blade, dyszące ciało Marii Józefy i przecinając nożycami pępowinę. Żona kowala straciła dużo krwi, leżąc na podłodze słoma była czerwona i lepka. Oczy kobiety były zapadnięte jak u zmarłej. Ale mąż miał teraz przynajmniej dziedzica.

Poród trwał całą noc. Rano Marta sporządziła jeszcze wzmacniający wywar z wina, czosnku i kopru włoskiego, umyła matkę i poszła do domu. Teraz siedziała w swojej izbie przy stole i próbowała

zetrzeć z oczu zmęczenie. Około południa tradycyjnie zajął do niej dzieciaki. Sama nie mogła mieć dzieci, choć już tylu maluchom pomogła przyjść na świat. Tym bardziej była zadowolona, że Sophie, mały Peter i inne dzieci tak często ją odwiedzały. Niekiedy jednak dziwiła się, cóż takiego one widzą w czterdziestoletniej akuszerce z jej maściami, tyglami i proszkami.

Marta Stechlin usłyszała, jak burczy jej w brzuchu, i przypomniała sobie, że od dwóch dni nie miała niczego w ustach. Zjadła ledwie kilka łyżek zimnej kaszy owsianej z garnka nad paleniskiem i od razu zabrała się za sprzątanie, coś bowiem jej zginęło. Coś, co w żadnym wypadku nie powinno dostać się w niepowołane ręce. Podejrzewała, że prawdopodobnie tylko przełożyła to w inne miejsce...

Z rynku dobiegały krzyki. Początkowo ledwo było je słyszeć, niczym pomruk, cichy i złowieszczy jak wściekłe brzęczenie roju os.

Marta podniosła wzrok. Na zewnątrz musiało się coś stać, jednak była zbyt zmęczona, by podejść do okna i sprawdzić, co to takiego.

Krzyki zaczęły się zbliżać, towarzyszyło im dudnienie kroków ludzi, którzy biegli po wybrukowanym rynku obok gospody „Pod Złotą Gwiazdą” w stronę wąskiej uliczki prowadzącej do Bramy Krowiej. Marcie Stechlin udało się teraz wyłowić z gwaru nazwisko.

To było jej nazwisko.

– Stechlinowa, czarownico! Powinnaś się spalić, spalić! Wyłaż, Stechlinowa!

Gdy akuszerka wychyliła się z okna na parterze, by sprawdzić dokładnie, o co chodzi, kamień wielkości pięści trafił ją prosto w czoło. Marcie pociemniało w oczach i upadła na podłogę. Kiedy odzyskała świadomość, przez zaslonę krwi zobaczyła, że drzwi do jej domu otwarto kopniakiem. Oprzytomniała i podskoczyła, by rzucić się na nie. Kilka nóg próbowało wsunąć się przez szczelinę. Później drzwi zatrzasnęły się. Na zewnątrz rozbrzmiewały wściekłe krzyki.

Marta zaczęła szukać w sukience klucza. Gdzież on się podział? Znów ktoś naciskał z zewnątrz. Tymczasem na stole obok jabłek coś błyszczało! Akuszerka swoim silnym ciałem zapierała drzwi, jednocześnie sięgając do blatu. Robiła to prawie po omacku, bo pot i krew zalewały jej oczy. W końcu chwyciła klucz i przekręciła go w zamku. Zasuwa zaskoczyła ze zgrzytem.

Nacisk na drzwi nagle ustał, a po upływie kilku sekund zastąpiło go potężne walenie. Mężczyźni najwyraźniej uderzali teraz w drzwi ciężkimi belkami. Już wkrótce cienkie drewno zaczęło sypać się w drzazgi. W otworze pojawiła się owłosiona ręka, próbująca chwycić akuszerkę.

– Stechlinowa, ty czarownico, wyłaż, bo ci podpalimy chałupę!

Przez rozłupane drzwi akuszerka dostrzegła stojących na zewnątrz mężczyzn. Byli to flisacy i woźnice, wielu z nich znała z imienia. Większość mężczyzn była ojcami dzieci, którym pomogła przyjść na świat. Teraz patrzyli na nią ze zwierzęcym błyskiem w oczach, pocili się ze zdenerwowania, krzyczeli i walili w drzwi i ściany. Marta Stechlin rozglądała się dookoła niczym zaszczuta zwierzyna łowna.

Nagle okiennica rozpadła się na części, a w środku pojawiła się masywna łepetyna Józefa Grimmera, jej sąsiada. Marta wiedziała, że nigdy nie wybaczył jej śmierci żony. Czy to był prowodyr tego wzburzenia? Grimmer zamierzył się na nią kawałkiem ramy naszpikowanej gwoźdźmi.

– Zabiję cię, Marto Stechlin! Zanim cię spalą, ja ciebie zabiję!

Marta pobiegła do tylnych drzwi, które prowadziły do małego ogródka z ziołami, bezpośrednio graniczącego z murami miasta. Będąc w ogrodzie, zauważyła jednak, że wbiegła w ślepy zaułek. Z lewej i prawej strony stały domy. Sam mur zaś do blanków miał wysokość dobrych dziesięciu stóp. Za wysoko, by pokonać go wyłącznie o własnych siłach.

Tuż przy murze rosła mała jabłonka. Marta podbiegła do niej i wspięła się po gałęziach w nadziei, że może w ten sposób uda jej się uciec na blanki.

Tymczasem z domu akuszerki ponownie zaczął dobiegać odgłos tłuczonego szkła, po czym drzwi do ogrodu gwałtownie się otworzyły. W futrynie stanął dyszący Józef Grimmer, który nadal trzymał w ręku groźnie wyglądający kawałek drewna. Za nim przeciskali się do ogrodu inni woźnice.

Marta Stechlin niczym kot wspinała się po jabłonce, coraz wyżej i wyżej, aż dotarła do gałęzi tak cienkich jak dziecięce palce. Złapała za krawędź muru i próbowała dostać się do zbawczych blanków.

Wtem rozległ się trzask.

Zdzierając opuszki palców do krwi, akuszerka ześlizgnęła się po murze w dół i spadła na mokrą grządkę warzyw. Józef Grimmer podszedł do niej z uniesioną wysoko drewnianą listwą, gotowy do zadania śmiertelnego uderzenia.

– Nie robiłbym tego.

Woźnica spojrział w górę, tam, skąd dochodził głos. Na blankach tuż nad nim stała dobrze zbudowana postać. Człowiek ten miał na sobie długi, dziurawy płaszcz i miękki kapelusz z szerokim, opuszczonym rondem, za które zatknęto kilka postrzępionych piór. Pod nim kryła się czarna, nieuczesana grzywa i broda zakrywająca pół twarzy, która dawno nie widziała balwierza. Blanki rzucały cień, dlatego, nie licząc olbrzymiego, haczykowego nosa i długiej fajki, twarz była właściwie niewidoczna.

Mężczyzna mówił, nie wyjmując z ust fajki. Teraz jednak trzymał ją w ręce i wskazywał na akuszerkę, która dyszała, siedząc w kucki pod murem.

– Zabicie Marty nie przywróci życia twojej żonie i nie sprawi, że twoje nieszczęście zniknie.

– Stul pysk, Kuisl! To nie twój interes!

Józef Grimmer odzyskał panowanie nad sobą. Podobnie jak wszyscy pozostali, był zdumiony sposobem, w jaki ów mężczyzna zbliżył się do nich, nie będąc przez nikogo zauważonym. Jednak szybko się otrząsnął. Jego pragnieniem było zemścić się i nikt nie mógł mu teraz w tym przeszkodzić. Z drewnianą listwą w ręku powoli zbliżał się do akuszerki.

– To jest zabójstwo, Grimmer – powiedział mężczyzna z fajką. – Jeśli teraz uderzysz, z przyjemnością założę ci powróż na szyję. I obiecuję, że będzie to długo trwało.

Józef Grimmer zatrzymał się. Z wahaniem obejrzał się na swoich towarzyszy, którzy najwyraźniej byli równie niezdecydowani jak on.

– Ona ma na sumieniu mojego syna, Kuisl – powiedział Grimmer. – Sam możesz to sprawdzić, przejdź się nad rzekę. Zaczarowała go, a później zadźgała. Namalowała mu diabelski znak.

– Jeżeli mówisz prawdę, to dlaczego nie ma cię teraz przy twoim synu? Dlaczego nie wyślesz do Marty woźnego sądowego?

Nagle Józef Grimmer uświadomił sobie, że jego martwy syn wciąż jeszcze leży nad rzeką. Zaślepiiony nienawiścią po prostu zostawił go i pobiegł za innymi. W jego oczach pojawiły się łzy.

Ze zręcznością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, mężczyzna z fajką wdrapał się po balustradzie blanek i wskoczył do ogródka z ziołami. Przewyższał zgromadzonych o dobrą głowę. Olbrzym pochylił się nad Martą Stechlin. Kobieta mogła teraz z bliska zobaczyć jego twarz, haczykowaty nos, zmarszczki przypominające bruzdy na roli, krzaczaste brwi i głęboko osadzone, brązowe oczy. Oczy kata.

– Teraz pójdziesz ze mną – szepnęła Jakub Kuisl. – Udamy się do pisarza sądowego, a on zamknie cię w więzieniu. Na razie będzie to dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce. Zrozumiałaś?

Marta skinęła głową. Głos kata był miękki i melodyjny, dzięki niemu uspokoiła się.

Akuszerka dobrze знаła Jakuba Kuisla, pomogła przyjść na świat jego dzieciom, martwym i żywym... Kat przeważnie sam jej przy tym pomagał. Od czasu do czasu kupowała u niego napoje i okłady stosowane w razie opóźniającego się krwawienia i niepożądanych narodzin. Znała go jako troskliwego ojca, który miał kompletnego fioła na punkcie swoich dzieci, zwłaszcza najmłodszych, bliźniaków.

Jednak widziała również, jak mężczyznom i kobietom zakładał na szyje powrozy i odsuwał drabinę. „A teraz powiesi mnie – pomyślała. – Ale wcześniej mnie uratuje”.

Jakub Kuisl pomógł jej wstać, a później spojrzał wyczekująco na zgromadzonych.

– Zaprowadzę teraz Martę do więzienia – powiedział. – Jeżeli rzeczywiście ma coś wspólnego ze śmiercią syna Grimmera, to poniesie sprawiedliwą karę. Mogę to wam obiecać. Do tego czasu zostawcie ją w spokoju.

Bez zbędnych słów kat chwycił Martę Stechlin za kark i poprowadził ją przez środek milczącej grupy flisaków i woźniców. Akuszerka była pewna, że spełni on swoją groźbę.